

## Grunt to rodzina! [TPCT 506]

Rodzinne domy dziecka są nie tylko domami dla osieroconych dzieci, ale laboratoriami miłosierdzia. Pracuje się w nich nad tym, co należałoby nazwać odbudowaniem zdolności kochania i przyjmowania miłości. Przez mediację uczy się tam łagodzenia konfliktów, przez rytm życia – stabilności, przez obecność dorosłych, ostatecznie: zaufania. Grunt to rodzina: w niej człowiek przechodzi swoją drogę od prawdy o swojej przygodności i potencjału do dojrzałości. I w niej, jeśli zabraknie własnego domu, może znaleźć nowy.

Starożytni Grecy powiadali: *paideia*, czyli rozumny proces formowania człowieka. Powolny, organiczny, nasycony obecnością osób, które uczą zarówno słowem, jak i przykładem. Stopniowe wprowadzanie w świat kultury, zasad czy wspólnoty. W tym rozumieniu dziecko jest bytem ku stawaniu się (aby nieco odmiennie zastosować Heideggerowską fazę), kimś, kto potrzebuje przestrzeni, rytmu i relacji, aby to, co w nim potencjalne, mogło rozwinąć się ku dojrzałości – urzeczywistniło. To nie jest błahe zadanie! Dlatego rdzeniem tej przestrzeni była zawsze rodzina jako najprostszy, a zarazem najbardziej fundamentalny sposób formacji. To ona ustanawia punkty odniesienia, dzięki którym uczymy się orientacji i nazw, zanim jeszcze poznamy reguły świata zewnętrznego. Dla dziecka rodzinny dom jest pierwszą szkołą rzeczywistości – tej konkretnej, namacalnej, przyobleczonej w gest, rytuał, zapach, ciepło czyjegoś głosu. Jest to swoista forma wcielenia, a więc dania formy temu, co niewidzialne, czasem nieuchwytnie. Wychowanie – także to najbardziej codzienne – jest zawsze wcielone.

Nie da się go przeprowadzić bez obecności, bez wierności trwającej dłużej niż chwilowy impuls. I właśnie o taką obecność warto zadbać, dać możliwość przebywania w rodzinie – a jeśli to niemożliwe, to w rodzinnym domu dziecka, który jest najbliższą formą temu koncertowi, ale i idei.

Przecież jednym z największych odkryć wczesnego dzieciństwa jest to, że można żyć, ufając, ba! że istnieją dorośli, którzy nie odejdą, że istnieje porządek, w którym miłość nie jest nagrodą, lecz darem. Tak też ten świat opisywała choćby Astrid Lindgren – patronka całych generacji. Umiała tak pisać o dzieciach, jakby wciąż miała klucz do ogrodu, w którym rodzi się ich wrażliwość: w jej historiach dzieci uczą się życia poprzez więź, przygodę i czułość, a dorośli są towarzyszami z całą swą mądrością i autorytetem. *Paideia* zaczyna się od takich właśnie doświadczeń: prostych, ale decydujących o wszystkim, co nastąpi później. Dlatego myśl o dziecku z całym jego potencjałem, który ma się urzeczywistnić, prowadzi nas do oczywistej (choć wcale nie tak łatwo uświadomionej) prawdy: że rodzina jest miejscem, które to umożliwia. W takim ekosystemie człowiek nie dojrzewa do autonomii rozumianej jako niezależność, jak i do relacji – a zatem do zdolności kochania, przebaczenia i odpowiedzialności. Nie istnieje bowiem wychowanie poza konkretnym sposobem życia. Nie ma drogi ku dobru, która omijałaby tych, którzy wcielają je w codzienność.

Niestety, wiele dzieci doświadcza rozpadu własnego domu: dramatów przemocy, zaniedbań, samotności czy utraty najbliższych. W języku nowoczesności mówi się czasem o „deficytach” czy „wykluczeniach”, ale przecież nie chodzi o brak umiejętności, czy też opis, który czasem przybiera nader prostą etykietę, którą znaczone jest już niemal wszystko. Tu sprawa waży znacznie więcej, idzie bowiem o naruszenie

samego fundamentu: zaufania. Dziecko zranione doznaje utraty fundamentu. Materialne braki da się wypełnić stosunkowo łatwo, trudniej zaś odbudować poczucie sensu, który pozwala wierzyć, że czyjaś miłość jest możliwa, a czyjaś obecność trwała.

Tu właśnie zaczyna się cicha, a zarazem heroiczna praca rodzinnych domów dziecka. Są co prawda instytucjami, ale przecież nie w pospolitym tego słowa znaczeniu. Bardziej przypominają – mówiąc językiem kultury – małe wspólnoty sensu czy zaufania, w których na nowo scala się to, co zostało rozdarte. Tworzą jedną rodzinę, w której dzieci w różnym wieku uczą się życia nie poprzez teorię, lecz przez uczestnictwo: przy stole, w codziennych obowiązkach, w sytuacjach konfliktu i pojednania. To środowisko stabilne, normalne w swojej rytmicznej zwyczajności, a jednocześnie otoczone troską specjalistów tam, gdzie trauma domaga się leczenia. Wychowawcy starają się wyrównywać edukacyjne i emocjonalne braki, wprowadzać dzieci w świat kompetencji, ale nade wszystko odbudowywać zdolność do więzi.

Nie jest to zadanie łatwe. Dzieci, które trafiają do RDDz, są często – jak mówią opiekunowie – pokaleczone. Niosą w sobie ciężar doświadczeń, które wyprzedziły ich wiek. Często zmagają się z opóźnieniami rozwojowymi, chorobami, zaburzeniami wynikającymi z traumy. Dlatego praca z nimi wymaga nie tylko kompetencji, ale i cierpliwości i zwyczajnej miłości. W tym sensie opiekunowie RDDz są podobni do bohaterów starych opowieści, działają na granicy sił, nie mają luksusu dystansu: są z dziećmi dwadzieścia cztery godziny na dobę, często przy rażąco niskim wsparciu finansowym i systemowym. Niemniej, ten wysiłek ten ma przecież głęboki sens. RDDz są jedną z niewielu form opieki, które mogą realnie przywrócić dziecku możliwość wzrostu we wspólnocie i w ciepłe rodzinne. Nie jako substytut rodziny, lecz jako

jej możliwa kontynuacja. Fundamentem ich filozofii jest relacja, obecność, miłość nieinstrumentalna. Wszystko, co dla dziecka najważniejsze, dokonuje się przy wspólnym stole albo podczas odrabiania lekcji.

W tym sensie RDDz są nie tylko domami dla osieroconych dzieci, ale laboratoriami miłosierdzia. Pracuje się w nich nad tym, co należałoby nazwać odbudowaniem zdolności kochania i przyjmowania miłości. Przez mediację uczy się tam łagodzenia konfliktów, przez rytm życia – stabilności, przez obecność dorosłych, ostatecznie: zaufania. Grunt to rodzina: w niej człowiek przechodzi swoją drogę od prawdy o swojej przygodności i potencjału do dojrzałości. I w niej, jeśli zabraknie własnego domu, może znaleźć nowy – dzięki tym, którzy uwierzyli, że nie ma bardziej fundamentalnej roboty do zrobienia przez wspólnotę, niż przywracanie komuś możliwości wzrastania. Jeśli gdziekolwiek odnawia się dziś sens *paidei*, to właśnie tam.

*Jan Czerniecki*

*Redaktor naczelny*

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”  
[506]: „Grunt to rodzina!”**